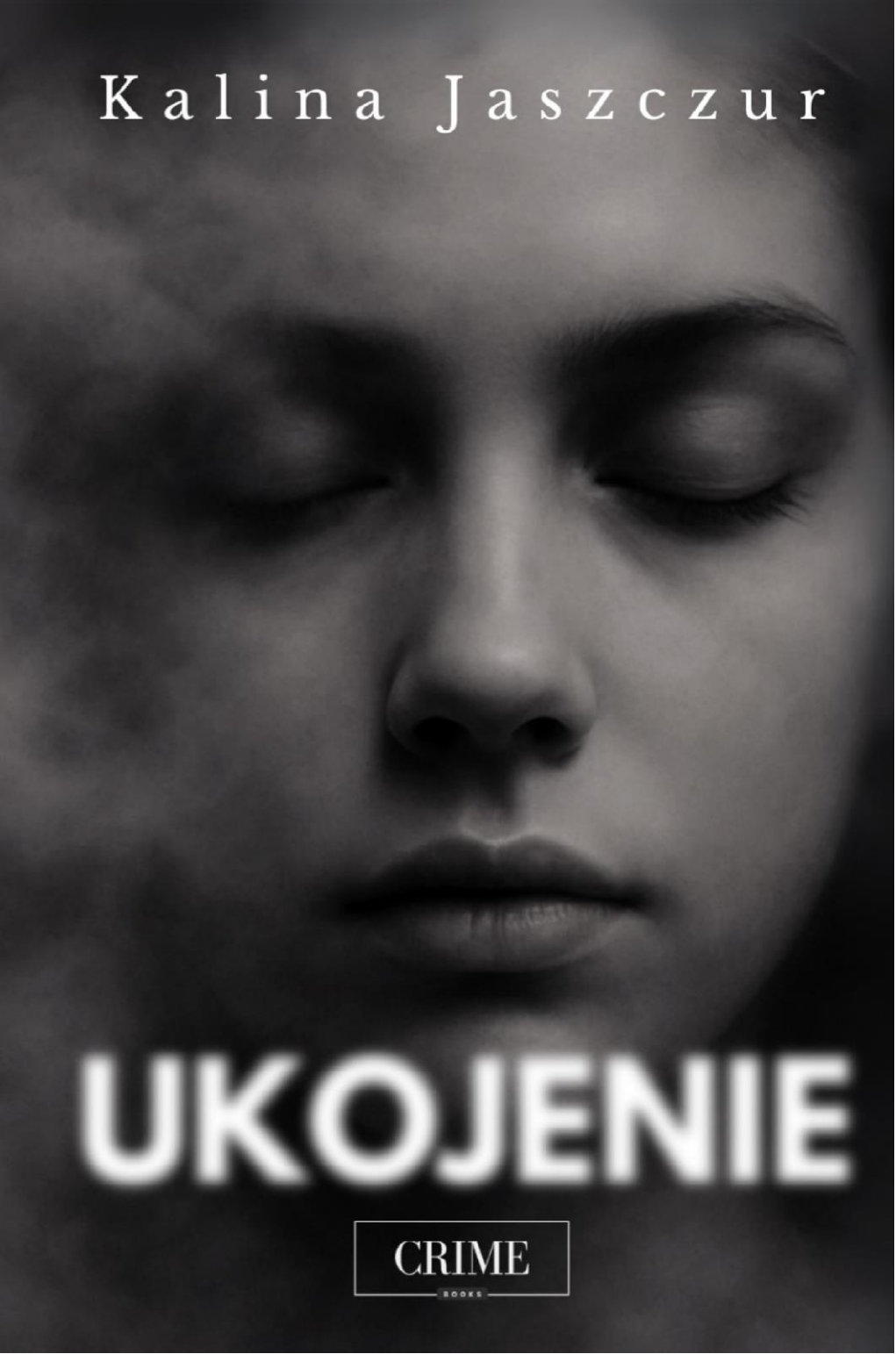




Kalina Jaszczur

UKOJENIE

CRIME

BOOKS

Kalina Jaszczur

UKOJEN

IE

CRIME

BOOKS

*Dla wszystkich wysoko wrażliwych –
nieście światło swojej delikatności wśród cieni niezrozumienia.*

*Czasem zbrodnia nie zostawia krwi, tylko
milczenie.*

Sierpniowe słońce przypiekało bezlitośnie, zalewając przedmieścia żarem. W nagrzanej szybie range rovera velara odbijała się sylwetka młodego mężczyzny. Miał w sobie coś, co przyciągało wzrok – i chodziło nie tyle o aparycję, ile o tę subtelną pewność siebie, która go otaczała. Jego ruchy były spokojne i oszczędne, precyzyjne w każdym geście. Ubrany był w prosty T -shirt i spodnie trekkingowe. Włosy miał zaczesane w klasycznym stylu, oczy zasłaniały duże markowe okulary przeciwsłoneczne, a na nadgarstku błyszczał elegancki zegarek. Wszystko to nadawało mu wygląd osoby, która zawsze wie, co ma robić, nawet w najtrudniejszych chwilach.

Mężczyzna włożył do bagażnika dużą ciemnozieloną torbę wędkarską. Obok niego stał sześciolatek chłopiec. Ręka malca zaciskała się wokół nowiutkiego kija wędkarskiego – trzymał go z dumą i fascynacją, jakby był to co najmniej miecz świetlny. Ojciec podarował mu go kilka dni wcześniej i Józek nie mógł już się doczekać nadchodzącej przygody.

– Tato, a czy dzisiaj złapiemy jesiotra? – zapytał z nadzieją, która jeszcze nie знаła smaku rozczarowania.

– A może suma? – Tomasz Stankowiak uśmiechnął się kącikiem ust.

Chłopiec z zapalem pokiwał głową, obie ryby budziły w nim równą ekscytację. W głowie układał już scenariusze: jak zarzuca wędkę, jak szarpie spławik. Wyobrażał sobie każdy szczegół. Czuł w brzuchu łaskotanie, jakby każda kolejna myśl

wzbudzała do lotu roje motyli. Rosło w nim coś trudnego do opisanania – mieszanka radości i napięcia.

Ojciec otworzył tylne drzwi, żeby wpuścić syna, sam zaś zajął miejsce za kierownicą. W kabinie otulił ich przyjemny chłód klimatyzacji.

– Wszystko spakowane? – zapytał mężczyzna, odpalając silnik.

– Tak! – rzucił z ekscytacją chłopiec. – Jeszcze tylko zanęta – dodał.

Zanim ruszyli, Tomasz przez chwilę patrzył nieruchomo na długi podjazd. Jego wzrok zatrzymał się gdzieś za bramą. Wiedział, że dla Józka ta wyprawa to coś więcej niż zwykłe wędkowanie. To wspólny czas, który nie zdarzał się im często. Wreszcie drgnął. Odetchnął głęboko, jakby wciągał powietrze przed skokiem do wody.

Czas ruszać.

Miasteczko przywitało ich znajomym widokiem: zabytkowe fasady kamieniczek, prawie puste uliczki, niespieszne tempo. Sklep wędkarski był ukryty między lokalną piekarnią a niewielką kwiaciarnią. Zaparkowali i ruszyli do środka. Wewnątrz przywitała ich charakterystyczna mieszanina zapachów – starego papieru, gumy, delikatnej wilgoci, a przede wszystkim intensywna, słodkawa nuta oleju rybiego, zboża i przypraw.

– Poproszę dwa opakowania tej zanęty Method. – Tomasz wskazał palcem na górną półkę.

Właścicielka, pani Irena, ruszyła w kierunku klienta, manewrując pomiędzy regałami z niewielką składaną drabinką w rękach. Bez niej nie poradziłaby sobie; zawsze miała ją schowaną pod ladą. W sklepie było ciasno, towar zajmował

każdy wolny centymetr powierzchni i ułożony był na półkach aż pod sam sufit.

– Chodzi o tę czerwoną? – dopytała, pokazując konkretne opakowanie.

– Tak. Ta najlepiej sprawdza się na jesiotry – dodał z uśmiechem Tomasz.

Kobieta ściągnęła dwa opakowania i podała je klientowi, uważając, by niczego przy tym nie stracić.

– Tato, tato! Weźmiemy jeszcze te kulki ananasowe? – krzyknął z drugiego końca sklepu chłopiec.

– Kulki ananasowe, mówisz? To chyba jakaś nowość? – Tomasz spojrzał pytająco w stronę ekspedientki.

– Tak, dostaliśmy je w tym tygodniu. Schodzą jak świeże bułeczki. Polecam spróbować – zachwalała pani Irena.

– Dobrze, niech będzie. Poproszę więc jeszcze te kulki.

Chłopiec podbiegł do ojca z małym plastikowym pojemniczkiem w ręczce. Rozczochrana blond czupryna, oczy błyszczące od ekscytacji. Mężczyzna zmierzwiał mu włosy z uśmiechem – tym miękkim, zarezerwowanym wyłącznie dla Józka. Czuł wielką więź z dzieckiem i zawsze bardzo cieszył się na ich wspólne męskie wyprawy. Podczas ostatniego wędkowania mały Józek zużył cały zapas zanęty, a on nie potrafił mu niczego odmówić.

– Weźmiemy też koszyczki i żyłkę, tę co zwykle – dodał, patrząc na sprzedawczynię, ale kątem oka pilnując syna. Zawsze go pilnował.

Pani Irena podeszła do lady i zaczęła podliczać towar. Pakowała kolejne pozycje do reklamówki, zagadując małego klienta:

– Idealna pogoda na wędkowanie, prawda?

– Tak, noc będzie bezchmurna i zobaczą pełnię! Bo my z tatą wybieramy się na moją pierwszą nocowanke! – oznajmił chłopiec z dumą tak wielką, że aż zarumieniły mu się policzki.

– Nocowanke? – Irena uniosła brwi. – A nie boisz się?

– Nie! Ja jestem już duży. Mam sześć lat i będzie ze mną mój tata – tłumaczył malec z powagą, z jaką mówi się o rzeczach najważniejszych. – Mamy wszystko, co potrzebne. Możemy tam nawet rozpałić ognisko. – Czuł się ważny, dorosły, choć był jeszcze dzieckiem.

Kobieta się uśmiechnęła, ale kątem oka znów spojrzała na Tomasza.

– Jedziecie do Głuszy jak zawsze? – zapytała.

– Tak, dzwoniłem do Karola i zarezerwowałem dla nas stanowisko. Uszykuje też drwa i palenisko. Myślałem, że będzie więcej ludzi ze względu na księżyc, ale uprzedzał, że przyjadą jeszcze tylko dwie osoby.

– Ze względu na księżyc? – zdziwiła się.

– Pełnia – wyjaśnił Stankowiak. – Dziś Księżyc Jesiotrów.

– Nie miałam pojęcia, że pełnia może mieć nazwę!

Widząc szczere zainteresowanie na twarzy rozmówczyni, postanowił wdać się w szczegóły.

– W sumie nie jest to naukowo udowodnione, ale pełnia to wyjątkowe zjawisko, które od wieków budzi silne emocje. Dawniej ruchy księżyca pomagały w planowaniu między innymi polo-

wań czy zbiorów. Wierzano, że ma to wpływ na różne aktywności życia codziennego. W czasie występowania tej konkretnej pełni

Indianie zauważyli, że ich połowy jesiota w wodach Wielkich Jezior się zwiększyły.

– Słyszałam, że pełnia ma wpływ na człowieka, ale myślałam raczej o bezsenności, a tu takie rzeczy... No magia!
– Pani Irenka uśmiechnęła się szeroko.

– My Indianami wprawdzie nie jesteśmy, ale także liczymy na obfity połów – zaśmiał się Tomasz.

– W takim razie tego wam życzę. Niech energia księżycy wam sprzyja! – Kobieta położyła na blat paragon. – Razem będzie sto osiemdziesiąt sześć złotych.

Tomasz wyciągnął z kieszeni portfel, a z niego banknot dwustuzłotowy. Zostawił go obok wydruku z kasy fiskalnej, gestem wskazał, że reszty nie trzeba, i sięgnął po reklamówkę z zakupami. Tymczasem Józek, wyraźnie zniecierpliwiony, odwrócił się na pięcie i w podskokach ruszył w kierunku wyjścia.

– Józek, co się mówi? – upomniał go ojciec.

– Do widzenia! – rzucił przez ramię chłopiec, będąc już prawie na chodniku.

– Do widzenia, do widzenia! – Pani Irena pomachała mu, choć nie mógł już tego zobaczyć.

Czarny range rover zaparkowany wzdłuż ulicy budził zainteresowanie przechodniów. Samochód dostępny był w limitowanej liczbie egzemplarzy. Stankowiak, przedsiębiorca działający

w branży nieruchomości, mógł sobie pozwolić na ten luksus. Pieniądze były jednak dla niego jedynie narzędziem – pełnym potencjału, dającym możliwości, ale wciąż tylko narzędziem. Głęboko wierzył, że prawdziwe szczęście nosi się w sercu – to rodzina i miłość.

– Zapnij pasy, a ja schowam zakupy do bagażnika – rzucił, otwierając auto.

– Dobrze, tato. – Józek od razu wskoczył na tylną kanapę.

Przygotowany wcześniej sprzęt wędkarski zajmował sporą część miejsca, spakowali też prowiant, a sklep był ich ostatnim punktem przed wyjazdem. Mogli co prawda zamówić wszystko, a nawet więcej, przez internet, jednak lubili klimat tego miejsca i byli stałymi klientami „Grubej Ryby”. Sklepiak nie był duży, lecz oferował naprawdę spory wybór. Właściciel, mąż pani Irenki, też zapalony wędkarz, który – gdy tylko był na miejscu – zawsze zabawiał klientów opowieściami o swoich najlepszych wędkarskich podbojach. Potrafił także fachowo doradzić w sprawach sprzętu i był na bieżąco ze wszystkimi nowościami na rynku. Jego żona podzielała tę pasję, dlatego od lat z powodzeniem razem prowadzili sklep.

– No to w drogę! – Tomasz usiadł za kółkiem i spojrzał w lusterko wsteczne.

Po chwili ruszyli. Po drodze mijali pola słoneczników i bale słomy po żniwach. Dzień był upalny, choć wakacje nieuchronnie dobiegały końca. Tomasza naszła smutna refleksja, że nic nie trwa wiecznie, a piękno chwil polega na ich kruchości. Polska latem jest najpiękniejsza, pomyślał, choć zwiedził w życiu wiele niesamowitych miejsc.

Zjechali z głównej drogi, kierując się wąską szosą na skraj wsi. Minęli ostatnie domy i skręcili w prawo. Tu już droga była polna, a znak kierujący na łowisko słabo widoczny, ale lokalni wędkarze nie potrzebowali drogowskazów.

– Tato, jesteśmy na miejscu! – krzyknął uszczęśliwiony Józek, gdy pokonali kolejne kilkaset metrów.

Głusza znajdowała się pośród łąk i lasów, niewidoczna z drogi. Nazwa miejsca była nieprzypadkowa – poza śpiewem ptaków słychać tu było jedynie obezwładniającą ciszę. Profesjonalnie przygotowany i ogrodzony teren liczył dwadzieścia pięć stanowisk wyposażonych w podbieraki oraz kołyski. Właściciele bardzo dbali o czystość wody, zieleń wokół oraz komfort wędkarzy pod każdym względem. Bez problemu można było rozbić tu namiot czy zrobić grilla. Choć prowadzili łowisko dopiero od dwóch lat, zarybienie było bardzo duże i zdążyli zyskać w okolicy sporą renomę; organizowali nawet zawody wędkarskie. W Głuszy obowiązywały określone zasady, między innymi ograniczenie liczby używanych wędek – najczęściej do dwóch, zakaz hałasowania i wprowadzania psów. Jednak najważniejsza z nich brzmiała: „No kill” – wszystkie gatunki ryb po złowieniu należało bezwzględnie wypuścić z powrotem do zbiornika.

Gdy minęli bramę wjazdową, a ze stróżówki wyszli Karol i Piotr, pomachali im na powitanie. Zaparkowali po drugiej stronie, przy płocie w pobliżu zarezerwowanego stanowiska ósmego.

Józek wyskoczył z samochodu, jeszcze zanim ojciec zgasił silnik, jakby nie mógł już wytrzymać. Podbiegł do brzegu stawu i zapatrzył się w spokojną taflę wody, w której odbiło się intensywnie błękitne niebo. Nie zdawał sobie sprawy, że w jej ciemnych głębinach kryje się coś tajemniczego, niewidocznego na pierwszy rzut oka. Coś podobnego do niewypowiedzianych uczuć, które – choć żywe – nie zawsze są widoczne dla innych. Wpływają za to na nasze decyzje, czekając na odpowiedni moment, by wyjść na powierzchnię i zmącić wodę, zmieniając wszystko na zawsze.

Tomasz zabrał się do przygotowywania stanowiska, co było niewątpliwie najważniejszą rzeczą podczas dłuższego wędkowania. Po chwili syn dołączył do niego w podskokach.

– Tato, mogę ci pomóc?

– Oczywiście. Idealne rozmieszczenie przedmiotów zgodnie z ich przeznaczeniem sprawi, że wszystko będziemy mieli pod ręką. – Ojciec podał mu wiadro z zanętą. – Postaw to, proszę, po prawej stronie siedziska.

– Tak dobrze? – Chłopiec ledwo utrzymał w małych rączkach pojemnik, ale poradził sobie.

– Idealnie. A teraz poukładaj na półce wszystkie mniejsze elementy: gruntomierz, portfel z haczykami, procę, przynęty... – Wyliczając, Stankowiak sam umieścił z lewej strony rusztowanie, a obok podbierak.

Na końcu ustawili wspólnie najważniejsze – dwa tripody wędkarskie. Tomasz bardzo cenił sobie wygodę połączoną z funkcjonalnością, szczególnie podczas długich wypraw nad wodę. Przed osiemnastą, gdy słońce powoli chyliło się ku zachodowi, wszystko było gotowe. Na koniec mężczyzna włączył sygnalizatory

z funkcją *bite alarm*, które automatycznie wykrywają napięcie żyłki i sygnalizują branie.

Józek, który właśnie zarzucił swoją wędkę, przyglądał się jej w skupieniu. Gdy spędzał czas z tatą, wszystkie konsole i smartfony mogłyby nie istnieć.

Tomasz odszedł kawałek i zadzwonił do żony.

– Cześć, kochanie, jak się czujesz? Wszystko w porządku? – zapytał. – Jesteśmy na miejscu, są jeszcze dwaj starsi wędkarze i Piotrek. Wszystko zgodnie z planem, właśnie zaczęliśmy naszą ostatnią przygodę wędkarską. – Spojrzał na syna z troską. – Wakacje powoli się kończą, to dobry czas – dodał z przekonaniem. – My ciebie też kochamy.

Rozłączył się i wrócił do chłopca. Przykucnął, by sprawdzić, czy Józek dobrze nawinął żyłkę na kołowrotek.

– Brawo, synku, profesjonalna robota! – uśmiechnął się z uznaniem, po czym zajął miejsce obok syna.

Teraz liczyli się tylko oni dwaj. Świat dookoła nich na chwilę zamarł. Czas zwolnił swój bieg.

21 sierpnia 2024 r.

Stefę Zarzycką wybudził ze snu dźwięk telefonu. Podniosła głowę i spróbowała namacać komórkę. Wokół było ciemno, rolety szczelnie zasłaniały okna. Nie wiedziała, jak długo spała ani która jest godzina. Chwilę zajęło jej odnalezienie aparatu, który uparcie nie przestawał dzwonić. Na ekranie wyświetlała się dobrze jej znana nazwa kontaktu: „Dziad”.

– Słucham – rzuciła zaspanym głosem, odbierając.

– Stefa, jest piętnasta, do cholery. Nie mów mi, że jeszcze śpisz.

– Pracuję w trybie zadaniowym i obowiązuje mnie nienormowany czas pracy – odpowiedziała niewzruszona.

– Dobrze, już dobrze. Szykuj się, bo jest robota. Mamy pięć trupów i niejasne okoliczności śmierci. Musisz być na miejscu jak najszybciej. Lgiń, województwo lubuskie. Zorganizuję ci pobyt jak zwykle. Lokalna komenda poinformowana, czekają na ciebie.

– Nie ma potrzeby, znam te okolice i mam się gdzie zatrzymać. – Pożałowała tych słów, gdy tylko opuściły jej usta.

– Poinformowałeś Roberta?

– Tak, jest już w drodze.

– Bez odbioru.

Rozłączyła się i opadła z powrotem na poduszkę.

Jej praca wiązała się z częstymi podróżami po całej Polsce. Spała w wielu przypadkowych hotelach, których niestety nie wybierała sama. Nie była typem księżniczki, ale często były to dla niej trudne doświadczenia. Bardzo przeszkadzały jej szumiące na-

wiewy, zbyt cienkie zasłony albo – o zgrozo – ich brak, mocne, wręcz jaskrawe kolory ścian, szorstkie ręczniki... Palnęła o własnym lokum, a przecież nawet nie wiedziała, w jakim jest ono obecnie stanie. Czy da radę tam wytrzymać?

Stefa lubiła pracować z Dziadem, dawał jej dużo swobody działania i darzył wielkim zaufaniem. Nie męczył zbędnymi pytaniami, a informacje przekazywał krótko i zwięźle. Propozycja pracy w nieformalnej jednostce należącej do CBŚP odmieniła jej

życie. Długo nie mogła dojść do siebie po stracie dziecka, bolesny rozwód także zrobił swoje. Po tym wszystkim trudno było jej

wrócić do normalnej służby, nie potrafiła już się odnaleźć.

Praca dla Dziada była dla niej zbawieniem, zwrotem, który nadał choć trochę sensu jej gównianemu życiu. Chociaż nigdy nie dała po sobie poznać, że tak właśnie jest. Pracowała przez cały rok o każdej porze dnia i nocy, gdy tylko była potrzebna – dyspozycyjność to podstawa działania jednostki. Dla niektórych mogłoby to być problemem, dla niej nie było. Organizacja liczyła kilkanaście zespołów działających na terenie całego kraju, jej był najmniejszy. Stefa nie lubiła pracy zespołowej, męczyło ją towarzystwo zbyt wielu ludzi. Chyba ogólnie ludzie ją męczyli. Poza tym lubiła pracować w ciszy i spokoju. Była typem człowieka, który potrzebuje skupić się w samotności, aby rozjaśnić myśli. Nie potrzebowała nadzoru, dobrze wiedziała, co robi, i sama decydowała, kiedy sytuacja wymaga pomocy osób trzecich. Była dobrze zorganizowana, działała szybko i przede

wszystkim skutecznie. Jej wykrywalność sięgała dziewięćdziesięciu pięciu procent. Traktowała pracę tak, jakby ta była jej życiową misją. Dziad dobrze o tym wiedział, dlatego szybko dogadali kwestie organizacyjne – choć Stefa musiała przystać na jeden warunek. Robert.

Godzinę zajęło jej ogarnięcie się. Po rozmowie z Dziadem włączyła na Spotify ulubioną playlistę jazzową. Subtelna muzyka wypełniła pomieszczenie; zawsze wprawiało ją to w dobry nastrój. Jej mieszkanie mieściło się w starej kamienicy. Miało wysokie sufity dające poczucie przestrzeni, ale samo w sobie było małe, raptem dwupokojowe. Urządziła je

minimalistycznie – w odcieniach bieli i ciepłego beżu, tak jak lubiła najbardziej.

Podeszła do okna, odsłoniła rolety i otworzyła skrzydło. Do wnętrza wdarło się nie tylko słońce, ale też odgłosy ruchliwej ulicy. Spojrzała na Promenadę Staromiejską ciągnącą się wzdłuż fosy. Urokliwe miejsce, które doskonale oddawało klimat tego miasta. Wrocław był piękny o każdej porze roku, ale teraz podobał jej się najbardziej. Ludzie spacerowali, siedzieli na ławkach, uprawiali jogging wśród zieleni drzew, łapiąc ostatnie sierpniowe promienie; zdawali się nie mieć problemów. Lubiała obserwować to ich bez troskie, codzienne życie.

Pozwoliła sobie na tę chwilę zatrzymania, po czym wzięła szybki prysznic i umyła zęby. Poczowała przypływ energii. Na makijaż nie poświęcała wiele czasu, zawsze wolała naturalny wygląd. Krem BB oraz delikatnie podkreślone tuszem rzęsy – to wszystko.

Blond włosy spięła w wysoki, schludny kucyk sięgający do ramion. Do mody także nie przykładła wielkiej wagi, nie interesowały jej najnowsze trendy. Ostre kolory i wymyślne fasony nie były dla niej. Najlepiej czuła się w stylu basic. Włożyła po prostu biały T -shirt, sprane džinsy, które wywinęła nad kostkę, i oldschoolowe adidas forum. Jeżeli to, co nosimy, rzeczywiście nas określa, o Stefie zdecydowanie można było powiedzieć, że to dziewczyna z sąsiedztwa. Jeszcze tylko odrobina perfum, od lat tych samych. Nie lubiła mocnych zapachów. Połączenie nut cytrusowych, jaśminu i drzewa cedrowego urzekło ją świeżością i delikatnością. Była gotowa. Nie wyglądała na swoje czterdzieści lat.

Podręczną torbę podróżną zawsze miała spakowaną i czekającą w gotowości w rogu szafy. Teraz wyciągnęła ją i zarzuciła na ramię. Następnie wzięła telefon ze stolika nocnego i wyłączyła muzykę.

– Jeszcze ładowarka – mruknięła do siebie i zaczęła grzebać w szufladzie szafki.

W końcu skierowała się do wyjścia. Po drodze złapała z wieszaka w korytarzu torebkę i sprawdziła, czy w środku są kluczyki od auta. Przystanęła i rzuciła ostatnie spojrzenie na mieszkanie, jakby dla pewności, że o niczym nie zapomniała. Zgasiła światło przy drzwiach i wyszła.

– Dzień dobry, pani Stefo – usłyszała znajomy głos za plecami, gdy zamykała drzwi.

Obróciła się i zobaczyła sąsiadkę z piętra wyżej. Starsza pani mieszkała tu od ponad czterdziestu lat. Była samotna i spragniona kontaktu z drugim człowiekiem – dzieci dawno już przeprowadziły się za granicę i rzadko ją odwiedzały.

– Dzień dobry, pani Mario. – Stefa uśmiechnęła się do niej życzliwie.

– Znowu pani wyjeżdża? – Kobieta spojrzała na jej torbę.

– Taka praca. A jak się miewa Filemon? – Zarzycka zmieniła temat, aby uniknąć dodatkowych pytań o kwestie zawodowe.

– Och, znacznie lepiej, na szczęście! Biedne kocisko musi teraz dużo odpoczywać. Jeszcze raz dziękuję, że pomogła mi pani z transportem do weterynarza. Inaczej musiałabym się tłuc tramwajami, a to byłby dodatkowy stres dla Filemonka.

- Drobiazg, pani Mario. – Stefa poprawiła torbę na ramieniu, dając do zrozumienia, że musi już iść.
 - Kiedy pani wróci?
 - Mam nadzieję, że za kilkanaście dni – odpowiedziała, schodząc już po schodach. – Obiecuję, że wpadnę na herbatkę.
-

Trasa zajęła jej nieco ponad dwie godziny. Z Wrocławia jechała dosyć szybko nową drogą ekspresową S5, ale zrobiła krótki postój w połowie podróży. Przekąsiła hot doga na stacji – był ohydny, ale zaspokoił głód. Kupiła jeszcze butelkę wody i ruszyła dalej. Dawno nie była w rodzinnych stronach i trochę się bała, jak zareaguje, nie pozwoliła sobie jednak na sentymenty. Praca to praca. Śledztwa nie wybierają sobie miejsca. Morderstwa nie zwracają uwagi na wspomnienia. Nie zawahała się, nawet jeśli wewnątrz niej coś zadrżało. Lasy i jeziora, Lubuskie Mazury – kraina jej dzieciństwa, lat nastoletnich. To tutaj uczyła się pływać, tutaj pierwszy raz całowała się w sekretnym zaułku. Wschowa liczyła czternaście tysięcy mieszkańców. W tym sennym miasteczku czas jakby się zatrzymał. Nie było jej tu od pogrzebu – minęło już kilka dobrych lat...

Przed osiemnąstą dojechała na miejsce. Przecięła miasto drogą krajową numer 12. Przedwojenna kamienica, w której kiedyś mieszkała, stała przy ulicy Kazimierza Wielkiego 16, na wylocie z miasteczka. Stefa zaparkowała na niewielkim podwórku, tuż pod starą lipą; gdy była mała, wspinała się na to drzewo razem z bandą okolicznych dzieciaków. Wyszła z samochodu i spojrzała w okna mieszkania na drugim piętrze.

Słońce wciąż wisiało wysoko na niebie, a jednak widok był dosyć ponury. Powroty zawsze są trudne, a ten miał słodko-gorzki smak.

Na klatce schodowej przywitał ją zapach stęchlizny. Kamienne schody były wytarte w miejscach, gdzie stąpały tysiące stóp, a drewniana poręcz skrzypiała przy każdym dotyku. Zarzycka weszła na drugie piętro i głęboko westchnęła. Stała tutaj po ośmiu latach, przed tymi drzwiami, które tak dobrze знаła. Nie wiedziała, czemu nie zdecydowała się na sprzedaż mieszkania.

Wynająć go tym bardziej nie potrafiła. Kosztowało ją to comiesięczne opłaty za czynsz i media, ale nie przejmowała się tym zupełnie. A może tak właśnie miało być, może mieszkanie czekało na ten moment, gdy ponownie będzie potrzebowała jego schronienia.

Przekręciła klucz z niewielkim oporem; zamek zgrzytnął. Uchyliła drzwi i zrobiła krok przez próg. Zapach był jeszcze gorszy niż na korytarzu. Nacisnęła włącznik światła, ale wokół niej

wciąż panował półmrok. Pomyślała, że może instalacja elektryczna jest niesprawna. To byłby spory kłopot. Przeszła do salonu i sprawdziła tam – tym razem z powodzeniem. Na szczęście

wszystko wskazywało na to, że to tylko przepalona żarówka.

Rozejrzała się, nie mogąc się otrząsnąć z dziwnego wrażenia, zupełnie jakby cofnęła się w czasie. Mieszkanie było praktycznie puste. Pozbyła się niemal wszystkiego, zostawiając jedynie najcenniejsze pamiątki. Zmieniło się tak wiele, a jednocześnie dla niej nie zmieniło się nic. Oczami wyobraźni widziała meble, zasłony, zdjęcia... Wszystko na swoim

miejscu. Spędziła tu wiele beztrudnych chwil. Pamiętała, jak w dzieciństwie mama co wieczór kładła ją do snu. Stefa bała się spać sama, więc rodzice kupili jej misia – nocnego strażnika. Miał brązowe futerko, czarne, błyszczące oczka i był bardzo puchaty. Odkąd go dostała, nie mogła już bez niego zasnąć. Stefek – tak go nazwała. Mała Stefcia i jej Stefek...

Chodziła po mieszkaniu, przywołując wspomnienia. Niemal widziała rodziców w kuchni, rozmawiających ze sobą podczas przygotowywania kolacji. Wiedli tu zupełnie normalne życie, dopóki ten straszny wypadek nie zakończył wszystkiego.

– Brakuje mi was. Tak bardzo mi was brakuje... – szepnęła.

Na wspomnienie rodziców zawsze bardzo się wzruszała. Często myślała o tym, że nie zdążyła im okazać, jacy byli dla niej ważni. Wciąż nosiła w sobie wielki smutek. Teraz jednak wiedziała, że musi nabrać dystansu, skupić myśli na czymś innym.

Otworzyła okna, żeby przewietrzyć zatęchłe wnętrza, po czym wyszła. Komenda mieściła się nieopodal jej mieszkania, dosłownie dwa budynki dalej. Komisariat przypominał pozostałe kamienice stojące przy tej ulicy i tak jak one został odrestaurowany. Szerokie i niskie schody prowadziły do wielkich drewnianych drzwi umieszczonych centralnie na frontowej ścianie. Stefa musiała użyć trochę siły, by je uchylić. Wewnątrz panował przyjemny chłód. Dyżurka była przestrzenią wydzieloną z korytarza za pomocą szklanego przepierzenia. Podeszła do okienka i pokazała swoją legitymację oficerowi dyżurnemu.

– Komisarz Stefa Zarzycka. Przyjechałam z Wrocławia w sprawie...

– Tak, tak wiem – przerwał jej mężczyzna. – Stefania Zarzycka...

– Stefa – poprawiła go krótko. Nie lubiła oficjalnej wersji swojego imienia.

– Jasne. Spodziewaliśmy się pani. – W tym samym momencie rozległ się dźwięk brzęczyka. – Proszę wejść i poczekać.

Zarzycka pchnęła drzwi i weszła na kolejny korytarz. Po chwili z jednego z wielu pomieszczeń wyszedł mężczyzna w średnim wieku i wyciągnął do niej rękę.

– Naczelnik Wydziału Kryminalnego nadkomisarz Bartosz Nowak, miło mi panią poznać.

– Komisarz Zarzycka – przedstawiła się.

– Zapraszam za mną na górę. Jak minęła podróż? – zapytał kurtuazyjnie, gdy ruszył przed nią po stopniach, tylko lekko obracając głowę w jej kierunku.

– Nie najgorzej – odpowiedziała zdawkowo.

Dotarłszy na ostatnie piętro, podeszli do drzwi na wprost schodów, naczelnik otworzył je i przepuścił Stefę.

– Bardzo proszę.

Policjantka weszła do środka, Nowak natomiast pozostał w progu. Przez chwilę żadne z nich się nie odzywało.

– Zostaliśmy poinformowani, w jaki sposób odtąd będzie przebiegało śledztwo. Przygotowaliśmy wszystko, co dotyczy sprawy, i służymy pomocą. W razie potrzeby do państwa dyspozycji pozostaje aspirant Mateusz Skrzyniarz. To młody, ale doświadczony policjant.

Skinęła głową i już chwilę później została sama. Pasował jej taki obrót sprawy, nie lubiła tych wszystkich oficjalnych przedłu-

żających się wstępów. Rozejrzała się. Znajdujące się na strychu, tuż przy archiwum, pomieszczenie musiało zostać niedawno wyremontowane, bo w powietrzu dawało się wyczuć zapach świeżej farby. Było jasne i dosyć przestrzenne za sprawą wysokiego sufitu wspartego odkrytymi belkami stropowymi. Na środku mieścił się spory stół z prostymi krzesłami, na blacie leżały akta, laptop, jakieś notesy i inne dokumenty. Wszystko miało swoje miejsce. Na wprost wejścia znajdowały się trzy okna dachowe, z których rozpościerał się widok na ulicę przed komendą. Na ścianie po prawej stronie wisiały duże białe tablice magnetyczne – czyste, gotowe na nowe notatki, schematy, myśli. Obok stał niewielki stolik, na którym czekały gotowe do użycia kolorowe flamastry i specjalna gąbka, jak zaproszenie do porządkowania tego, co w głowie. Pomieszczenie nie było tylko biurem – było azylem umysłu, miejscem, w którym życie zawodowe i psychika spotykały się w harmonii, napiętej i nieprzewidywalnej zarazem.

Stefa wzięła głęboki wdech, zajęła miejsce przy stole i zaczęła przeglądać materiały. Raport był stosunkowo świeży, ale zawierał sporo konkretnych informacji. Wyjęła z teczki fotografie i ułożyła je równo, jedna przy drugiej. Każda z nich przedstawiała ciało innej ofiary. Policjantka przyglądała się im uważnie. Jedno zdjęcie zrobiło na niej szczególne wrażenie. Ukazywało ciało kilkuletniego chłopca. Nie mogła oderwać wzroku od tej kruchej istoty. Jego skóra była blada, półprzezroczysta, cieniutka. Zmierzwiona czupryna opadała na czoło, powieki były zamknięte. Wyobraziła sobie błękit jego oczu. Nie wiedziała, dlaczego akurat ten kolor tęczywek przyszedł jej na myśl. Poczuła wewnętrzną potrzebę, aby go

utulić. Przesunęła delikatnie palcem po konturach twarzy uwiecznionej na zdjęciu.

Minęła prawie godzina, zanim rozległo się ciche pukanie i do pokoju wszedł mężczyzna w cywilu w towarzystwie młodego policjanta.

– Jesteś. Dobrze cię widzieć – rzuciła Stefa, nie podnosząc wzroku znad dokumentów. Zdała sobie sprawę, że trochę za nim tęskniła, choć w żaden sposób tego nie okazała.
– Gdzie się zatrzymałeś?

– Jeszcze nigdzie, przyjechałem prosto na komendę. Adres hotelu dostałem esemesem, nie sprawdzałem. To miło, że się martwisz. – Robert uśmiechnął się chytrze.

Spojrzała na niego i też odpowiedziała uśmiechem. Pamiętała słowa Dziada: „Nie możesz działać całkiem sama. Dwoje to tylko para, a nie cały zespół”. Trzy tygodnie zajęło mu przekony-

wanie jej racjonalnymi argumentami. W końcu postawił sprawę jasno: taki jest warunek. Z czasem dotarło do niej, że miał rację, i teraz na myśl o swoim uporze tylko się uśmiechała. Jej obawy były nieuzasadnione.

Robert był kryminalnym z Warszawy – czterdzieści dwa lata, dobrze zbudowany brunet średniego wzrostu. Jego znakiem szczególnym były tatuaże; miał do nich słabość. Polubiła go, bo dawał jej przestrzeń i rozumiał jej wysoką wrażliwość, nie oceniał, nie infantylizował. Poza tym jego opanowanie i poczucie humoru miały na nią kojący wpływ. Sama zbyt łatwo ulegała emocjom i szybko dostrzegła, że on potrafi je wyciszyć. Ale nie tylko o to chodziło – widziała w nim przyjaciela. Pracowali razem od dwóch lat przy najtrudniejszych śledztwach w Polsce. To ich zbliżyło.

– Widzę, że zaczęłaś już analizować papiery. Co mamy?
– Robert odłożył swoje rzeczy na krzesło i podszedł do partnerki.

– Zbiorowy zgon. Jest raport z porannych oględzin i wstępne wyniki sekcji. Prorok przycisnął patologa, ale na wyniki pozostałych badań jak zwykle musimy poczekać. Na razie będziemy działać z tym, co jest. Oględziny nie pozwoliły jednoznacznie określić przyczyny zgonu, jednak już teraz wiemy, że wszystkie pięć osób zmarło z powodu niedokrwienia mięśnia sercowego, słowem: zawał. Wszyscy odeszli nagle i gwałtownie, mniej więcej w tym samym czasie, między pierwszą a drugą w nocy. W tym sześciolatek chłopiec... Poza tym jedyne ślady widoczne na ciałach to nieliczne ugryzienia komarów. – Stefa podeszła do jednej z tablic magnetycznych przytwierdzonych do ściany. Stała przed mapą i podjęła: – Miejsce zbrodni to łowisko Głusza, nieopodal małej miejscowości letniskowej Lgini nad jeziorem Lginsko. Akwen znajduje się tutaj. – Wskazała palcem punkt na mapie. – Z dała od głównej drogi. Wokół tylko łąki i las. Najbliższe zabudowania znajdują się ponad kilometr w linii prostej od miejsca zdarzenia i w żaden sposób nie były stamtąd widoczne.

– Wiadomo, kto odnalazł zwłoki? – zapytał Robert, pobieżnie przeglądając raport.

– Wędkarze, którzy przyjechali o ósmej rano dwudziestego sierpnia na umówioną wizytę. Wczoraj zostali już przesłuchani przez miejscowych policjantów. Podobno zastali otwartą bramę, wjechali więc na teren łowiska. Podeszli do stróżówki, widząc uchylone drzwi. Na podłodze leżał Piotr Makowski, współwłaściciel obiektu. Pomyśleli, że może

zasnął albo wypił za dużo poprzedniej nocy, nie reagował jednak na próby cucenia. Na jego ciele nie znaleźli żadnych obrażeń zewnętrznych świadczących o przemocy. Wokół także nie było śladów krwi ani włamania. Mężczyzna nie oddychał, wędkarze nie wyczuli też pulsu. Zadzwonili na pogotowie ratunkowe, uznając, że dostał

wylewu lub ataku serca. Widząc zaparkowane w oddali samochody, zaczęli wołać o pomoc, nikt jednak nie odpowiadał. Gdy podeszli bliżej, ich oczom ukazały się dwa kolejne ciała: mężczyzny i dziecka. Przestraszeni, uciekli do swojego samochodu i zadzwonili na policję.

– Nie sprawdzili nawet, czy ci ludzie żyją? Nie próbowali udzielić im pomocy? – Robert spojrzał w kierunku młodego policjanta, który go przyprowadził.

– Nie – odparł aspirant. – Oczekiwali na służby około piętnastu minut, w przerażeniu zamknęci w pojeździe. Nie wiedzieli, co się dzieje, cała sytuacja była na tyle dziwna i niepokojąca, że zaczęli obawiać się o własne życie.

– Dziękuję. Teraz proszę zostawić nas samych.

– Oczywiście. – Policjant natychmiast zniknął za zamkniętymi drzwiami.

– Monitoring? Ślady na drodze? – Robert spojrzał na Stefę.

– Droga dojazdowa jest piaszczysta, polna. Wędkarze przyjechali autem terenowym z szerokimi oponami, widoczne są jedynie ślady ich bieżnika. No i jeszcze karetki pogotowia oraz radiowozu oczywiście. Monitoringu brak. Z rozmowy z żoną nieżyjącego współwłaściciela wynika, że monitoring dopiero mieli założyć w kolejnym sezonie.

– Monitoring we wsi?

- Nie ma.
- A wspólnik? Był przesłuchiwany?
- Karol Piotrowski, lat czterdzieści dwa, samotny kawaler, zamieszkały przy ulicy Kopernika we Wschowie. Niestety policjanci nie zastali go w miejscu zamieszkania, jego telefon nie odpowiada, a samochód stoi zaparkowany pod blokiem. Mężczyźni znali się od dawna. Teresa Makowska wspominała, że ostatnio często dochodziło do kłótni między jej mężem a Karolem. Twierdzi, że Karol zarzucał Piotrowi brak zaangażowania w sprawy łowiska. Ten miał traktować interes jak najważniejszą rzecz w swoim życiu i tego samego oczekiwał od wspólnika. Z kolei dla Piotra łowisko było bardziej odskocznią od codzienności, zwykłym hobby. Zainwestował w nie swoje środki za namową kolegi, ale nie traktował jak głównego źródła dochodu.

- Do spółki to srają... – Robert nie dokończył.
- Myślisz, że jak nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o pieniądze? – Stefa zmrużyła oczy.

- Dowiemy się, jak odnajdziemy pana Karola, który tajemniczo zniknął.

- Jako potencjalny podejrzany jest oficjalnie poszukiwany w związku ze sprawą. Prokurator wydał dzisiaj postanowienie o zatrzymaniu i przymusowym doprowadzeniu po tym, jak na jego polecenie policjanci weszli siłowo do mieszkania. Nie było nikogo. Wszystkie patrole i służby mają jego rysopis i dane osobowe, a jego mieszkanie jest pod stałą obserwacją.

- Co z pozostałymi ofiarami?

– Tomasz Stankowiak, lat trzydzieści sześć, i jego sześciolatek syn Józek. – Stefa zamilkła na chwilę, patrząc na fotografię ciała chłopca.

– Miejscowi? – dopytał Robert.

– Tak, są ze Wschowy. Wczoraj rano policjanci poinformowali żonę mężczyzny i zarazem matkę chłopca. Nie udało się uzyskać od niej żadnych informacji. Kobieta doznała silnego wstrząsu. Funkcjonariusze wezwali na miejsce karetkę pogotowia, lekarz podał jej jakieś środki i zabral do szpitala. – Stefa przekartkowała dokumenty. – W aktach jest adnotacja o niejakim Antonim Mazurze. To lokalny gangus działający w branży narkotykowej, podobno powiązany z tą rodziną. Do sprawdzenia. – Ponownie spojrzała na tablicę. – Ostatnie dwie ofiary to mężczyźni po sześćdziesiątce: Mieczysław Karolczyk i Jan Bednarz. Obaj pochodzą z oddalonej o czternaście kilometrów miejscowości Zamysłów, w województwie lubuskim. Znajomi, którzy udali się na wypad na ryby. Ich rodziny także zostały powiadomione i przesłuchane. Nic nie wzbudza podejrzeń, brak jakichkolwiek punktów zaczepienia.

Na dłuższą chwilę w pomieszczeniu zapadła cisza, przerywana jedynie delikatnym szumem wentylatora.

– Czyli mamy jednego zaginionego współnika i jednego powiązanego gangstera? – podsumował Robert po chwili namysłu.

– No i pięć ciał wyglądających, jakby... – Stefa szukała właściwych słów.

– Jakby ktoś zabił tych ludzi bez dotykania ich – dokończył.

Zarzycka wzięła głęboki oddech.

– Zastanawiam się, jak ugryźć tę sprawę. Chciałabym ponownie przesłuchać rodziny ofiar. Osobiście. No i rzecz jasna pojechać na miejsce zdarzenia.

Sięgnęła po torebkę i podeszła do drzwi. Robert też wziął swoje rzeczy, po czym zgasił światło. Zeszli schodami do tylnego wyjścia. Było już późno, na zewnątrz zapadł zmrok, a w blasku latarni tańczył rój owadów.

– Podwieźć cię? – zapytał Robert, który zostawił swoje auto na tyłach komendy.

– A może randka? – uśmiechnęła się Stefa. Podobnie jak on była zmęczona podróżą i głodna.

– W sensie jedziemy na żarcie. Okej, to jest to, czego mi trzeba. Rydwan czeka, partnerko. – Policjant wskazał na swoje volvo V60 zapraszającym gestem.

– To służbowa fura?

– Tak, na potrzeby śledztwa. Poprosiłem o nią Dziada.

A co, zła?

– Nie, skądże. Po prostu przez chwilę się zastanawiałam, czy tylko ja nie dostałam podwyżki.

– Nie ma o czym gadać. – Machnął ręką.

Stefa zajęła miejsce pasażera, a Robert usiadł za kierownicą.

Po chwili ruszyli w stronę bramy wyjazdowej.

– To dokąd? – zapytał. – Podobno jesteś z tych stron.

– Skąd wiesz?

– Szef wspomniał, że masz tu jakieś lokum i nie spotkamy się w hotelu jak zwykle.

– Dawne czasy. Nie było mnie kilka dobrych lat. Zaraz znajdę w necie jakąś miejscówkę. Jedź w prawo, w kierunku centrum.

Dojechali do ronda, po czym zjechali z głównej drogi w poboczną, ułożoną ze starego bruku. Przejechali koło ratusza i skwerku z fontanną. Nad rynkiem górowała oświetlona wieża kościoła. Minęli mury obronne i podwale stanowiące niegdyś fosę. Stare, zabytkowe miasteczko miejscami przypominało Stefie Wrocław.

Po dziesięciu minutach byli na miejscu, a po kolejnych piętnastu jedli już lokalnego kebba w samochodzie przed lokalem.

W radiu Whitney Houston śpiewała *I Will Always Love You*.

– O matko, jakie to dobre... – Robert ze smakiem wgryzł się w fast fooda.

– Wiesz w ogóle, co jemy? – zapytała retorycznie Stefa.

– Pyszne mięsko, trochę suróweczki, sosik i chrupiąca tortilla – wyliczał.

– Zmielona padlina niewiadomego pochodzenia, odrobina zleżałej kapusty, a to wszystko zalane tanią czosnkową breją.

– No przecież dokładnie to powiedziałem. Sycąco i ekonomicznie.

Zaśmiali się oboje.

– Stefa, to jedna z moich lepszych randek. Jeszcze mi powiedz, że będzie mizianie na tylnej kanapie, i poczuję się jak nastolatek!

– Robercik, ten kebab to chyba już ci zaszkodził. – Zarzycka pokręciła głową, po czym zmieniła temat: – To co sądzisz o tym wszystkim?

– Gangsterzy nie załatwiają swoich porachunków w taki sposób. Wspólnik działający pod wpływem emocji mógłby zabić w afekcie, ale nie ma żadnych śladów walki. Zawał serca

u pięciu osób równocześnie, w tym u dziecka. Gdyby to była zwyczajna sprawa, nie byłoby nas tutaj.

– Dokładnie tak – westchnęła, kończąc posiłek.

Rozmawiali jeszcze chwilę o tym, co działo się w ich życiu od czasu ostatniej sprawy. Stefa czuła narastające zmęczenie i bardzo chciała się już położyć. Podała Robertowi swój adres i ruszyli. Na uliczkach nie było żywego ducha, jakby całe miasteczko spało głębokim snem. Po dwudziestej drugiej była już pod domem.

Dom... Powoli znów mogła tak nazywać to miejsce.

Robert wjechał na podjazd przy kamienicy, ale nie wyłączył silnika. Stefa wysiadła z samochodu i przytrzymując drzwi, nachyliła się jeszcze do kabiny.

– Jutro z samego rana pojedziemy do Lginia się rozejrzeć.

Bądź po mnie o szóstej.

Robert kiwnął głową. Odczekał chwilę, a gdy tylko partnerka zniknęła za drzwiami klatki schodowej, wrzucił wsteczny i wycofał. Odjechał z piskiem opon w kierunku hotelu.

Stefa weszła do pustego, ciemnego mieszkania. Po przewietrzeniu pachniało w nim odrobinę lepiej niż wcześniej, choć wciąż można było wyczuć delikatną woń stęchlizny. Nie miała na czym się położyć – poszła więc na strych, żeby poszukać czegoś odpowiedniego. Gdy wróciła, wyjęła z torby ręcznik, podstawowe kosmetyki i zaniósła je do łazienki. Wzięła szybki prysznic. Po godzinie się położyła. Długo nie mogła zasnąć, mimo zmęczenia. Kłębiły się w niej różne uczucia, jednak dominował nad nimi niepokój. Zastanawiała się, czy dobrze

zrobiła, decydując się na nocleg tutaj zamiast w hotelu. Nie była pewna, czy zdoła tu zostać. Przekręcała się z boku na bok, było jej niewygodnie na łóżku polowym, pod starym kocem. Każdy jej ruch powodował niemiłosierne skrzypienie. Powietrze wydawało się zbyt suche. Wstała i otworzyła szerzej okno. Położyła się ponownie i wbiła wzrok w sufit.

– Co cię spotkało, chłopczyku? – szepnęła do siebie, myśląc o małym Józku.

Na to wspomnienie załała ją znajoma fala smutku. Minęło tyle lat, a ona miała wrażenie, jakby wszystko rozegrało się ledwie

wczoraj. Jak wyglądałby jej synek? Do kogo byłby podobny? Co by lubił? Łzy napłynęły jej do oczu. Poczuła ogromny ciężar w klatce piersiowej. Zaczęła oddychać miarowo, żeby uspokoić emocje, które wróciły z niespodziewaną siłą. Ułożyła się na boku i po chwili poczuła, jak tętno powoli wraca do normy. Cisza dzwoniła jej w uszach. Męczyła ją bezsenność, a wraz z nią przychodziła potrzeba analizowania wszystkiego. Kołowrotek myśli kręcił się nieubłaganie, bez szans na zatrzymanie. Spojrzała w kierunku okna – rozgwieżdżone niebo wyglądało niczym obsypany brokatem czarny atłas. W mieszkaniu nie było zasłon, blask gwiazd rozświetlał sypialnię. Od zawsze miała problem

z zaśnięciem w pomieszczeniu, które nie było całkowicie zaciemnione. Ostatni raz spojrzała na zegarek. Zostały jej tylko cztery godziny snu, zanim będzie musiała wstać do pracy. Musiała odpocząć, przede wszystkim psychicznie. Sen to jedyny ratunek.

Nie wiedziała nawet, kiedy ją odcięło.

22 sierpnia 2024 r.

Noc spędzona na łóżku polowym przyniesionym ze strychu nie należała do najprzyjemniejszych. Poza tym Stefę męczyły koszmary. Obudziła się po piątej, a jej głowa znów pracowała na pełnych obrotach. Zastanawiała się, co oprócz wędkarstwa mogło łączyć ofiary. Co mogło spowodować taką śmierć jednocześnie u tylu osób?

Nie zwlekając, wzięła zimny prysznic – zawsze dobrze jej robił, umyła zęby, spięła włosy w kucyk i spryskała się perfumami. Przeglądając się w niewielkim lusterku z podręcznej kosmetyczki, pomalowała oczy, by zamaskować efekty nieprzespanej nocy. Jej rzeczy leżały w torbie pod oknem. Były wymięte, ale nie miała żelazka. Wyjęła czarne džinsy i lekko pognieciony beżowy T-shirt.

Na nogi włożyła adidas.

Robert zjawił się punktualnie, tak jak się umówili. Powitał ją świeżą kanapką z lokalnej piekarni i termosem pełnym ziołowego naparu.

– Rumianek! Pamiętałeś... Dziękuję. – Zarzycka nie kryła radości.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

– A teraz przycisz to radio. I w ogóle zmień stację. – Przetarła oczy i ziewnęła głęboko.

– Aha. Miło to już było... – westchnął Robert, ale posłusznie wykonał polecenie.

Stefa zlekceważyła jego komentarz, pochłaniając śniadanie.

– Będziesz mnie pilotować czy mam po prostu wpisać dane w nawigację?

– Wpisz – rzuciła krótko, między kęsami.

Ominęli centrum Wschowy, zjeżdżając na obwodnicę. Przejechali kawałek drogą wojewódzką numer trzysta pięć w kierunku Lginia. Robert wyprzedził jadącego przed nimi opla astrę, którego kierowca włókł się niemiłosiernie.

Po chwili minęli ranczo Szmaragd. Spory billboard znajdujący się przy drodze zachęcał do skorzystania z oferty szkoleń, konsultacji i lekcji jazdy konnej.

– Jeździłaś kiedyś konno? – zagadał Robert, gdy cisza w aucie się przedłużała.

– Nigdy. – Pytanie wytrąciło Stefę z zamyślenia. Od kilku minut nie mogła wyrzucić z głowy obrazu martwego chłopca leżącego na mokrej trawie. Zawsze najbardziej przeżywała krzywdę dzieci.

– A chciałabyś spróbować?

– Musiałabym spotkać na swojej drodze prawdziwego ogiera, wtedy bym się zastanowiła.

Robert zarżał, na co Stefa wybuchnęła śmiechem.

Wioska znajdowała się stosunkowo niedaleko od Wschowy. Na głównej krzyżówce wsi skręcili w lewo. Przejechali dwa kilometry, gdy ostatnie domy zaczęły za nimi znikać. Pośrodku niczego skręcili w prawo, wjeżdżając w polną drogę prowadzącą do łowiska. Znajdujący się tam znak reklamowy całkiem zasłoniły przydrożne krzaki. Droga miała niecały kilometr. Nie była niczym utwardzona, ot, zwykły polny piach. Wiła się delikatnie pomiędzy łąkami. Minęli kawałek mieszanego lasu i dojechali na miejsce.

Głusza urzekła lokalizacją. Gdyby nie świadomość tego, co się tu wydarzyło, można by się zatracić w tym miejscu. Cisza i spokój, a wokół zniewalające widoki. Wzdłuż drogi przywitał ich szpaler wysokich, dostojnych topoli. Łowisko pochłonięte było wszechobecną sierpniową zielenią. Z jednej strony ściana drzew. Na skraju szumiące brzozy i akacje. Z drugiej bezkresna łąka, pełna różnych traw i bylin. Rano tuż nad ziemią unosiła się delikatna mgła, która dopełniała tego sielskiego obrazka. Nada-
wała temu miejscu wręcz metafizyczny charakter.

Zaparkowali przed bramą wjazdową, do której klucze dostali w komendzie. Założyli rękawiczki lateksowe i wkroczyli na teren łowiska. Robert szedł przodem, pewnym krokiem. Stefa podążała nieco za nim, rozglądając się bacznie. Po lewej stronie znajdowała się stróżówka – niewielki budynek, a raczej barak postawiony na legarach. Zewnętrzne odeskowanie świadczyło,

że była stosunkowo nowa. Jedyne okno, zamknięte, przysłaniała roleta. Drzwi były zaplombowane taśmą policyjną, którą Robert bez namysłu zerwał. Mały betonowy bloczek leżący pod drzwiami służył jako stopień. Oboje weszli do środka.

– Zobaczymy, czy coś tu jeszcze znajdziemy. –
Policjant poprawił rękawiczki.

Wewnątrz panował względny porządek. Rzeczywiście nie było żadnych śladów grabieży, płądrowania czy walki. Całość stanowiło jedno pomieszczenie, w którym znajdowały się rozkładana kanapa, szafa oraz mały aneks kuchenny. Pod oknem stało biurko z krzesłem. Laptop oraz kalendarz zabrano na komendę po oględzinach. Ponownie przeszukali wszystkie

szafki, szuflady i półki. Zajęło im to ponad pół godziny. Nadaremnie.

– Ale tu gorąco – powiedział Robert.

– Według patologa do stężenia pośmiertnego u Makowskiego doszło nieco później, bo zwłoki znajdowały się w ciepłym pomieszczeniu. Ale tak jak mówiłam, można stwierdzić, że wszystkie osoby zmarły w tym samym czasie.

– Brak śladów włamania może świadczyć o tym, że Makowski znał napastnika.

– Ja zaczynam się zastanawiać, czy w ogóle był jakiś napastnik – odparła Stefa, sprawdzając szufladę biurka.

– Co masz na myśli?

– Sama nie wiem... – Mrużąc oczy, patrzyła przez okienko w stronę akwenu. Tafla wody była spokojna. – Chodź, przejdziemy się wokół stawu.

Wyszli i skierowali się w stronę stanowiska, przy którym znaleziono Tomasza Stankowiaka z synem. Cały teren został przeszukany przez lokalną policję podczas oględzin. Samochody ofiar zabrano na policyjny parking i również dokładnie przeszukano. Teoretycznie nie było tu niczego, co mogłoby stanowić jakiś trop. Na miejscu pozostała jedynie wygnieciona trawa, na której teraz skupili uwagę.

– Noce nie są już takie gorące jak w czerwcu, trawa jest wilgotna – zauważył Robert.

Perłki rosy skrzyły się w blasku porannego słońca. Każda kropelka zawierała w sobie odbicie całego otoczenia, lecz wystarczył delikatny promień słońca, by stała się tylko wspomnieniem. Ich nietrwałość przywodziła na myśl kruchość istnienia.

Sprawdzili także linię brzegową, ale bez efektów. Stefa niejedno już widziała, ale to miejsce miało w sobie coś wyjątkowego. Coś, co z każdym krokiem boleśnie wbijało jej się pod skórę.

– Czujesz to? – mruknęła cicho do Roberta, nie odrywając wzroku od gęstwiny trzin po lewej stronie.

– Wiatr? – zapytał z przekąsem.

Nie odpowiedziała.

Stanowisko, przy którym wędkowali Karolczyk i Bednarz, znajdowało się kawałek dalej, tuż za zakolem stawu. Nie było widoczne z tego miejsca, zasłaniała je niewielka wysepka, sztucznie utworzona w północnej części zbiornika. Była gęsto porośnięta wysokim tatarakiem, miejscami sięgającym nawet czterech metrów. Trzciny kołysały się, szepcząc łagodnie, jakby znały mroczną tajemnicę łowiska. Gdy podeszli bliżej, zauważyli, że stanowisko daje największą prywatność ze wszystkich, a zarazem nie widać z niego, co dzieje się po drugiej stronie. Wysepka przysłania także bramę wjazdową i stróżówkę. W tym miejscu jednak także nie udało się im znaleźć niczego istotnego.

– Z raportu wynika, że rzeczy wędkarzy były nietknięte; przynęty przygotowane, wędki zarzucone.

– Chwilę przed śmiercią musieli zachować spokój.

– Wszystko wygląda tak, jakby świat się w tym miejscu na chwilę wyłączył, odcinając zasilanie od ciał tych ludzi. – Zarzycka obróciła się wokół własnej osi, rozglądając się uważnie.

– Trochę nierealne.

– A jeśli właśnie tak jest i to coś wykraczającego poza ludzki rozum? – W jej głosie brzmiał niepokój.

– Jeśli jest coś, czego jeszcze nie potrafimy wyjaśnić, to zapewne tylko kwestia czasu, aż nam się to uda.

– Pewnie masz rację. – Stefa pokiwała głową i dodała: – Zapomniałam ci wczoraj powiedzieć, ale musimy się z kimś spotkać. Mieczysław Kucewicz, tak nazywa się nasz jedyny potencjalny świadek. Mieszka za wsią, po drugiej stronie polnej drogi prowadzącej do Głuszy. Zobaczymy, co ma nam do powiedzenia.

– Świadek? To już coś.

Nie chcąc tracić więcej czasu, ruszyli w stronę pozostawionego przed bramą samochodu. Wtedy Stefa znowu to poczuła, i to bardzo wyraźnie. Jakby ktoś – lub coś – obserwował ich z niewielkiej odległości. Lodowaty dreszcz przebiegł jej po karku. Zatrzymała się i raz jeszcze rozejrzała. Zrobiła kilka zdjęć telefonem z zamiarem obejrzenia ich później – być może obiektyw wychwyci coś, co jej umknęło. Zdjęcia czasem pokazują prawdę, której oko nie zauważa.

Zbliżała się ósma. Gdy wyjeżdżali, poranne słońce oświeślało im drogę. Stefa zdążyła jeszcze się obrócić i spojrzeć w stronę łowiska, zanim zniknęło za drzewami. Obłoki kurzu wzbijanego przez koła wiły się za nimi szeroką wstęgą. Ten widok wzbudził w niej niejasny niepokój.

Wjechali na drogę asfaltową i skierowali się na północ. Już po chwili ich oczom ukazała się niewielka nieruchomość znajdująca się przy poboczu. Samotny dom stał poza zasięgiem wsi, jakby na granicy zapomnienia. Od drogi oddzielony był pasem nieokiełznanych, dzikich krzaków, które tworzyły swoisty mur chroniący domostwo przed zgiełkiem świata.

– To tutaj. – Stefa wskazała palcem budynek.

Robert wrzucił prawy kierunkowskaz, skręcił w nieutwardzony wjazd i zaparkował przy rozpadającym się drewnianym płocie. Wiejski przybytek wyraźnie domagał się remontu. W dachu brakowało dachówek, elewacja odsłaniała cegły, a ze starych okien obłaziła farba. Pewnie kiedyś to miejsce tętniło

życiem, teraz jednak stało w ciszy, strzegąc wspomnień. Podobnie jak puste mieszkanie po rodzicach przy Kazimierza. Myśl o domu przemknęła przez umysł Stefy jak cień i nagle jej spojrzenie się zmieniło.

Wokół domu rosły chwasty, drzewa nie były przycinane od lat, a przy wejściu stały puste donice. Wszędzie walały się jakieś stare, pordzewiałe graty. Po podwórku przed gankiem chodziły kury, a gdy policjanci wysiedli z samochodu, z budy wypadł uwiązany na łańcuchu pies i zaczął ujadać.

W oknie dostrzegli jakiś ruch zza pożółkłej firanki. Zanim dotarli do krzywo zwisającej na zawiasach furtki, przed dom wyszedł gospodarz.

Otworzy i wejdzie – odezwał się, wskazując na haczyk w bramce.

– Dzień dobry – przywitał się Robert, wkraczając na posesję.

– Dobry, dobry – odparł chłop.

– Jesteśmy z policji. Komisarz Stefa Zarzycka, a to mój partner, komisarz Robert Wilczak. – Stefa wyjęła legitymację służbową. – Pan Mieczysław Kucewicz?

– Tak.

Mężczyzna miał około siedemdziesięciu lat. Ubrany był w brudny podkoszulek i szare spodnie wciśnięte w gumofilce. Był bardzo zaniedbany, tłuste włosy sterczały mu w każdą stronę, nie golił się od dawna i śmierdział. Podeszedł do ogrodzenia.

– Od dawna pan tu mieszka?

– Od dawna – potwierdził krótko.

– Sam?

– Sam. – Ponownie nie wdał się w żadne szczegóły.

– Chcemy porozmawiać z panem na temat tego, co widział pan w nocy z dziewiętnastego na dwudziestego. Bo coś pan widział, prawda?

– Ano, coś widział.

– Mógłby pan opisać co takiego? – dociekała Zarzycka. Przypuszczała, że mężczyzna im nie ufa i potrzebuje czasu, żeby się oswoić. Nie myliła się.

Kucewicz sięgnął do kieszeni po zmiętą paczkę papierosów i włożył jednego do ust. Papieros był krótki, bez filtra, wyglądał na skręconą z taniego tytoniu samoróbkę. Z drugiej kieszeni chłop dobył zapalniczki i już po chwili zaciągnął się głęboko, rzucając zgaszoną zapalniczkę pod nogi. Jego palce były pożółkłe, a paznokcie czarne. Stefa nie cierpiała tego nałogu.

—
Nie mogła znieść smrodu, który przenikał skórę, włosy i wydobywał się z wnętrza człowieka przy każdym otwarciu ust. Czula obrzydzenie na ten

widok, a niejednokrotnie nawet na samą myśl o tym.

— Wstałem w środku nocy, bo głupi kundel mnie obudził. Nie przestawał ujadać, to musiałem sprawdzić, czy nikt obcy się tu nie kręci. Czasem szczekał, jak jakieś zwierzę podlaźło do płota, ale teraz to dłużej. Wyszłem i chwyciłem za kija, to od razu się zamknął. Księżyc był taki wielki i świecił mocno, ale nie było widać żywego ducha. Nasłuchiwałem i nic. — Spojrzał na policjantów i zamilkł. — Coś jednak pan dostrzegł?

— Ano, gdy już miałem wchodzić z powrotem do chałupy, na niebie ujrzałem światło. — Zaciągnął się mocno i wypuścił gęsty dym nozdrzami.

— Jakie światło?

— Takie światło, co ja takiego nigdy w życiu nie widział. Mocne, zielone i sięgało z gwiazd. Znikało i się pojawiało, takie ruchliwe jak nie wiem.

— Z której strony się pokazało? — Stefa próbowała to sobie wyobrazić.

— O tam! — Mężczyzna wskazał palcem w kierunku łowiska, na grupę drzew.

— Pamięta pan, która to mogła być godzina?

— Ano pamiętam. — Ponownie zaciągnął się papierosem. — Po północy było.

— A jak długo to trwało?

— Nie wiem, bo ze strachu ja się schowałem i drzwi zamknąłem.

— Coś jeszcze pan widział albo słyszał?

— Nie. Wypiłem łyk gorzały, żeby szybko zasnąć.

- A wcześniej pan nie pił? – dopytał Robert.
- Ano nie piłem.
- A czy chodzi pan może czasem nad łowisko Głusza?

Skaąd! To dla miastowych, bogatych, nie dla mnie. Ja to łowię na dziko, panie. Nad jezioro do Lginia jeżdżę rowerem.

Komisarze spojrzeli na siebie porozumiewawczo.

– Dobrze, z naszej strony to chyba wszystko. Dziękujemy. Proszę się jutro zgłosić na komendę we Wschowie i złożyć oficjalne zeznania – oznajmił Robert i skinął głową na pożegnanie.

Gdy byli już przy furtce, Kucewicz ich dogonił. Złapał Stefę za przedramię, aż ta się wzdrygnęła.

- To nadejdzie znowu – powiedział dziwnym tonem.
- Ale co? – zapytał zdziwiony Robert.
- Zło. – Mężczyzna spojrzał w niebo nad łowiskiem. – I nie będzie od niego ucieczki.

– Ma pan na myśli zjawiska nadprzyrodzone? – sprecyzowała Stefa.

Zrobił zdziwioną minę, jakby nie zrozumiał pytania.

- Wierzy pan w duchy, w kosmitów? – uściślił Robert.
- To nie była natura – odpowiedział chłop z lekkim oburzeniem.

Gdy odjeżdżali, wciąż stał nieruchomo przy płocie. Stefa czuła na sobie jego spojrzenie. I nie było to miłe uczucie. Miała wrażenie, że jego ostatnie słowa na dobre zagnieździły się w jej umyśle.

– Co o tym sądzisz? – spytała, gdy wiedziała już, że zniknęli mu z pola widzenia.

– Zdziczały facet, wyglądał na chłora. Jak na mój gust zachlał i coś mu się przyśniło.

—

Robert zawsze myślał racjonalnie, analizował wszystko na chłodno. Ona kierowała się bardziej sercem niż rozumem, ufała swojej intuicji.

— Może masz rację... a może nie – podsumowała. – Jak dla mnie to nieszkodliwy dziwak. Nie znamy jego historii, może ma swoje powody, przez które oddalił się od świata.

–
Maybe you were right, but baby, I was lonely... –
zaśpiewał Robert, jednocześnie podkręcając muzykę w radio,
gdy z głośników rozbrzmiała piosenka Ringside. – *I don't want
to fight, I'm tired of being sorry...*

Stefa zaśmiała się i dołączyła do niego:

– *I'm standing in the street, crying out for you...* –
Zamknęła oczy, bujając się w rytm muzyki, i już po chwili całe
napięcie z poranka z niej zeszło.

Po powrocie do Wschowy postanowili w pierwszej
kolejności udać się do żony współwłaściciela łowiska.

Wdowa po Makowskim przyjęła ich w swoim domu. Mieszkała
w raczej skromnym budynku z lat osiemdziesiątych, tak zwanej
kostce, jakich wiele widywało się w całej Polsce. Wspomnienie
czasów PRL -u powoli prosiło się o remont.

– Dzień dobry. – Stefa kolejny raz tego dnia wyciągnęła
legitymację policyjną, a Robert poszedł w jej ślady. – Pani
Teresa
Makowska?

Kobieta wyglądała, jakby nie spała od dwóch dni.
Podkrążone, zapłakane oczy, fryzura w nieładzie, przybrudzony
dres – ewidentnie nie była w najlepszej formie.

– Tak, zapraszam. – Odsunęła się od drzwi i wpuściła
policjantów do środka. – Proszę wejść do salonu. Ja za chwilę
wrócę – powiedziała przepraszająco i udała się w przeciwną
stronę.

—
Po chwili zjawiała się ponownie. Wyglądała trochę lepiej, uczesała włosy i spięła je w kucyk. Na jej twarzy pojawił się delikatny rumieniec, być może musnęła policzki różem albo po prostu przemyła twarz zimną wodą. Stefa wyczuła też silny zapach ciężkich, orientalnych perfum – trochę ją zemdlilo.

Napiją się państwo czegoś?

— Poprosimy jedną czarną kawę i jedną herbatę, jeśli to nie problem – odezwał się Robert.

— Ależ skąd.

Gdy komisarze znów zostali sami, rozejrzeli się po salonie. Wnętrze było urządzone chaotycznie, zapewne przez panią domu. Ściany tonęły w jaskrawej czerwieni. Uwagę zwracała też duża liczba wzorzystych tkanin. Grube zasłony w kwiatowy print okalały okna. Ten sam motyw pojawiał się na licznych poduszkach leżących na sofie. Do tego kolorowe koce i spory perski dywan. Meble także nie były gładkie – miały liczne ornamenty i ozdobne uchwyty. Salon zdawał się pulsować nerwową energią właścicielki. Na komodzie stało mnóstwo bibelotów, figurki, książki, szkatułka, okulary, a także inne rzeczy codziennego użytku. Stefa zauważyła wśród nich zdjęcie gospodarzy w fiku-

śnej, złotej ramce – wyglądali na szczęśliwych.

— Skoro odwiedzają mnie komisarze, liczę na to, że mają państwo jakieś ważne informacje odnośnie do śmierci mojego męża. — Makowska drżącymi rękoma postawiła filiżanki z parującymi napojami na rzeźbionym stoliku.

— Szczerze mówiąc, chcielibyśmy zadać pani jeszcze kilka pytań – odezwał się Robert, sięgając po swoją kawę.

–
– Powiedziałam już wszystko, co mogłam w tej sprawie powiedzieć – stwierdziła kobieta bez emocji.

– Zdarza się, że musimy dopytać o niektóre kwestie po raz drugi. Nie zajmujemy pani wiele czasu – odpowiedział łagodnie.

– Rozumiem, że nie ma żadnych postępów? Pierwsze godziny są najważniejsze. Miałam nadzieję, że dowiem się od państwa, co się stało z Piotrem. Ktoś go zamordował? To Karol? – Ostatnie słowa ledwo wyksztusiła.

Na tym etapie śledztwa nie możemy udzielić pani takich informacji. Procedura w tym przypadku jest nieco bardziej skomplikowana. Pracujemy w trybie pilnym. Proszę mi wierzyć, robimy wszystko co w naszej mocy, aby jak najszybciej wyjaśnić tę sprawę. – Robert starał się uspokoić kobietę, ale przyniosło to odwrotny skutek.

– Procedury, procedury! A ja straciłam męża i nie wiem nic ponad to, że on nie żyje! – zaczęła szlochać poddenerwowana.

Milczeli chwilę, by dać kobiecie czas na wyłkanie się. Robert pomimo wieloletniego doświadczenia wciąż nie potrafił odnaleźć się w sytuacjach związanych z przekazywaniem tragicznych

wieści, za każdym razem czuł się niezręcznie. Krępowало go cierpienie rodzin, które widział. Wątpił, czy kiedykolwiek będzie potrafił pocieszyć drugiego człowieka w takim momencie.

– Ma pani dzieci lub kogoś bliskiego? – zapytała Stefa.

—

— Tak, córkę. Ma przylecieć dzisiaj z Hiszpanii. Jak tylko dowiedziała się o wszystkim, od razu przeorganizowała swoje życie – odparła kobieta, opanowując płacz.

— To dobrze, że córka będzie z panią. W ciężkich chwilach trzeba znaleźć w sobie siłę. My bardzo na panią liczymy, na pani pomoc... Trochę tu duszno, czy mogę otworzyć okno?

Stefa przekreśliła klamkę, nie czekając na odpowiedź gospodyni. Zaczepnęła spory łyk świeżego powietrza, niemal rozpaczliwie pragnęła stąd uciec.

Robert to zauważył i przejął pałeczkę, kierując spojrzenie na Makowską.

— Czy łowisko było państwa głównym źródłem utrzymania? – zapytał.

— Nie. Mamy sklep z armaturą łazienkową, ale w obecnych czasach ciężko nam być konkurencyjnymi na rynku. Wiedzą

państwo, markety budowlane, internet. Mimo wszystko nie narzekaliśmy. Głuszę Piotr traktował jak hobby; zresztą Karol go namówił. Od początku nie podobał mi się ten pomysł. – Makowska nie kryła niezadowolenia.

– Jakiego typu jest spółka, którą powołali?

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – A czy to ma jakieś znaczenie?

– Po prostu zbieramy informacje odnośnie do sprawy. Mogłaby pani sprawdzić dokumenty firmy?

– Tak, oczywiście... Zaraz je znajdę. – Gospodyni podeszła do komody i otworzyła górną szufladę. – Ja się tym nigdy nie interesowałam. Sprawy firmowe sklepu ogarniał mąż, ale wiem,

że ważne dokumenty trzymamy tutaj. Papiery tego przeklętego łowiska też powinny gdzieś tu być...

Wyjmowała kolejne segregatory i teczki, tak że już po chwili na stole piętrzył się pokaźny stos. Wyraźnie miała problem z odnalezieniem się w tym wszystkim. Uważnie przyglądała się etykietom, jakby widziała je pierwszy raz w życiu. Wyjmowała liczne koperty, stare nieprzydatne rachunki, jakieś wizytówki. Znalezienie odpowiednich dokumentów zajęło jej trochę czasu, ale w końcu się udało.

– Jest, bardzo proszę. – Podała Robertowi teczkę opisaną tylko jednym słowem: „Głusza”. – Dobrze się pani czuje? Może

wody? – zwróciła się do Stefy, chyba dostrzegając jej bladość.

– Proszę się nie kłopotać. – Policjantka nie chciała przyznać, że to zapach intensywnych kadzidlanych perfum Makowskiej w połączeniu z nadmiernym chaosem panującym w tym domu jest przyczyną jej złego samopoczucia.

Robert przez chwilę przeglądał dokumenty, po czym zapytał:

– Wiemy, że pani mąż ostatnio często sprzeczał się ze współnikiem. A czy zauważyła pani coś jeszcze w zachowaniu męża?

Może coś niepokojącego? Proszę sobie przypomnieć, co działo się dziewiętnastego sierpnia. Każdy szczegół może być istotny.

– Tego dnia Piotr dłużej spał, miał zaplanowaną nocną zmianę w Głuszy. Ja wyszłam z domu przed południem i pojechałam na zakupy. Gdy wróciłam, zjedliśmy razem obiad, który przygotował. Lubił gotować; lasagne to była jego specjalność. – Na to wspomnienie kobieta uśmiechnęła się nieznacznie. – Potem każdy zajął się swoimi sprawami, taka codzienna rutyna. Ja plewiłam rabaty za domem, on sprzątał w garażu. Zgromadziłam tam sporo rzeczy, mam naturę zbieraczki. Przed szesnastą po Piotra przyjechał Karol i razem pojechali do łowiska. Musieli zmacić wodę w zbiorniku, co wymagało dwóch osób na łódce. Z powodu wysokich temperatur woda zakwita i trzeba się natrudzić, aby temu zapobiec. Piotr został tam na noc, a Karol miał wrócić do Wschowy i zmienić go rano. Nie zjawił się jednak, nie ma go w domu, jego telefon nie odpowiada, sprawdzałam. Czy udało się państwu z nim skontaktować lub ustalić, gdzie przebywa? On na pewno coś wie.

– Czy mąż na coś chorował? Zżywał jakieś leki na stałe? – Robert zignorował pytanie kobiety. Po przekartkowaniu dokumentów odłożył teczkę na stolik, sięgnął po filiżankę i upił łyk kawy.

– Nie – odpowiedziała stanowczo wdowa.

– A czy mówi coś pani nazwisko Antoni Mazur?

– Tak, to lokalny przedsiębiorca. – Ostatnie słowo zaakcentowała znacząco. – Prowadzi kilka legalnych biznesów, ale wszyscy w mieście wiedzą, czym tak naprawdę się zajmuje. Narkotyki – dodała, wyraźnie zgorszona. – Nie znaliśmy go z mężem osobiście. Zawsze byliśmy porządnymi ludźmi.

– Mam jeszcze ostatnie pytanie. Co pani robiła po wyjeździe męża do Lginia? – Komisarz spojrzał na nią uważnie.

– Słucham? – Makowska skamieniała.

– To standardowe pytanie, proszę nie brać tego do siebie. Na pewno zadano je już pani wcześniej. Proszę jednak udzielić odpowiedzi ponownie.

– Zostałam sama, wzięłam prysznic i położyłam się spać. Obudziłam się koło dziewiątej, Piotra jeszcze nie było. Zadzwoiłam do niego, ale nie odebrał. Pomyślałam, że jakaś praca zatrzymała go dłużej na łowisku. Zająłam się sprzątaniami. Koło południa ktoś zadzwonił do drzwi, to była policja... – Otarła z policzka łzę. – A teraz proszę wyjść i wrócić, gdy będą państwo mieli jakiegokolwiek informacje w sprawie śmierci mojego męża – zakończyła chłodno i zdecydowanie.

– Oczywiście, nie będziemy pani więcej niepokoić.

Policjanci skierowali się w stronę drzwi.

– Do widzenia. – Teresa się podniosła, ale ich nie odprowadziła. Opadła z powrotem na fotel i rozplakała się rzewnie.

Stefa i Robert w milczeniu wsiedli do auta i zapięli pasy. Zarzycka odchyliła głowę, opierając ją o zagłówek, i zamknęła

oczy. – Źle się czujesz? – zapytał partner, patrząc na nią z troską.

– Nie... Nie wiem, chyba po prostu jestem trochę przytłoczona. Nie przejmuj się.

– Za dużo rokobarokoko i w głowie się zakręciło – stwierdził bez cienia ironii.

Stefa uśmiechnęła się słabo i uniosła powieki.

– Kobieta nie ma żadnego alibi – podsumowała wizytę.

– Tak, ale brakuje motywu, a nawet poszlak, które mogłyby wskazywać na nią.

– Zauważyłeś, jak bardzo podkreśla winę współnika?

– Szukanie winnych to najprostsza droga do radzenia sobie z frustracją. A panowie podobno ostatnio nie mieli najlepszych relacji.

– To, że się kłócili, wynika jedynie z jej zeznań. Nie wiadomo, czy rzeczywiście tak było...

– Koleś zniknął akurat teraz, to nie działa na jego korzyść, a uwiarygadnia jej sugestie.

– A może on się nie ukrywa, może został uprowadzony albo też nie żyje?

– Uprowadzony? Przez kogo? Po co? Coś wydarzyło się na łowisku, ale on stamtąd wrócił, jego samochód stoi pod blokiem – przypomniał Robert. – Która godzina?

– Dochodzi czternasta. – Przekręcił kluczyk w stacyjce.

– Spójrz... – Stefa pokazała mu w swoim telefonie mapkę miasteczka z zaznaczonym adresem. – Zdążymy jeszcze podjechać do lokalnego sklepu wędkarskiego, to niedaleko. Nie ma innego w promieniu piętnastu kilometrów. Społeczność jest niewielka, ludzie się tu raczej znają i sporo wiedzą, może i my czegoś się dowiemy.

Komisarz skinął głową i odpalił silnik.

Włączył się do ruchu, gdy w radiu wybrzmiał dżingiel wiadomości. Lokalna stacja nadawała informacje odnoszące się do ich sprawy. „Tajemnicza śmierć pięciu osób w okolicach Lginia wstrząsnęła mieszkańcami wsi – informował reporter. – Z relacji świadka wynika, że feralnej nocy na niebie pojawiły się dziwne, zielone światła. Czy to niezidentyfikowany obiekt latający? Co tak naprawdę wydarzyło się na łowisku?”

– Kurwa – zaklął Robert. – Brakowało nam jeszcze tylko mediów i ich teorii spiskowych.

Stefa bez słowa wyłączyła odbiornik.

Już po chwili dotarli do celu i zaparkowali przy ulicy. Nad sklepem wisiał szyld z chwytliwą nazwą „Gruba Ryba”. Weszli do środka. Pomieszczenie było niewielkie i zastawione towarem.

Byli jedynymi klientami.

– W czym mogę pomóc? – przywitał ich dojrzały mężczyzna siedzący za kontuarem.

– Jesteśmy z policji i chcielibyśmy porozmawiać o wydarzeniu sprzed dwóch dni. Chodzi o śmierć wędkarzy na łowisku Głusza. Zapewne pan o tym słyszał. – Wilczak wyjął legitymację i pokazał ją sprzedawcy.

– Tak, słyszałem. Ale co ja mam z tym wspólnego? – odparł zdziwiony mężczyzna.

Stefa rozglądała się po sklepie, gdy z zaplecza wyszła jakaś kobieta.

– Dzień dobry – przywitała się z klientami i spojrzała na zdenerwowanego męża. – Co się dzieje, Heniu? – zapytała.

– Wszystko w porządku, chcemy tylko porozmawiać – odpowiedziała jej Zarzycka.

– Kim państwo są?

– To policjanci, kochanie – zwrócił się do żony właściciel. – Przyszli w związku z tym, co wydarzyło się w Głuszy.

Kobieta rozejrzała się po sklepie, podeszła do drzwi, obróciła kartkę z napisem „ZAMKNIĘTE” na zewnątrz, po czym przekreśliła zamek.

– Rozumiem, że państwo prowadzą ten sklep? – upewnił się Robert.

– Tak, Irena Kisielewicz – przedstawiła się. – Razem z Henrykiem prowadzimy ten sklep od ponad dwudziestu lat. – Zdawała się być bardziej opanowana od męża. – Jak możemy pomóc?

– Czy znali państwo którąś z ofiar?

– Tak. Znaliśmy bardzo dobrze Piotra, był współwłaścicielem Głuszy. Na fasadzie naszego sklepu wisi nawet baner reklamowy jego łowiska. Nie możemy uwierzyć, że już więcej go nie zobaczymy. – Objęła się ramionami i ze smutkiem spojrzała na męża.

– Rozumiem, że Karola Piotrowskiego także dobrze państwo znają?

– On bywał u nas trochę rzadziej – odparł Henryk. – Nie mieliśmy z nim takiego kontaktu jak z Piotrem.

– A kiedy ostatnio się z nim widzieliście? – dopytał Robert.

– Jakoś miesiąc temu. Byli u nas wtedy razem, we dwóch. Potrzebowali dokupić sprzęt dla klientów na stanowiska łowiska. – Mężczyzna wytarł chusteczką spoczone

czoło. – My nie wiemy, gdzie jest Karol, jeśli do tego pan zmierza.

– Jak się zachowywali podczas tamtej wizyty?

– Normalnie, jak zawsze.

– A jak w ogóle wyglądały ich relacje? Może Piotr wspominał coś na temat swojego wspólnika?

– Biznes się rozwijał, mieli coraz więcej klientów. Piotr nigdy nie wypowiadał się negatywnie o Karolu. Podejrzewacie go?

– Nie sędzę, aby Karol mógł zrobić coś takiego – dodała Irena.

– Czy znają państwo także pozostałe ofiary? – wtrąciła się Stefa, ucinając domysły małżeństwa.

– Wszyscy byli naszymi klientami. Jedni stałymi, drudzy sporadycznymi. Może teraz tego nie widać, ale mąż jest gawędziarzem i ma świetny kontakt z ludźmi, którzy nas odwiedzają. – Właścicielka spojrzała na męża wzrokiem, który wyraźnie sugerował, aby opanował emocje.

– Irenka ma rację, trochę stresuje mnie państwa wizyta.

– Henryk się wyprostował i wzmocnił ton głosu. – Wschowa to małe miasteczko, wszyscy się tu znają, chociaż z widzenia. Tomasza Stankowiaka znaliśmy najlepiej, był naszym stałym klientem.

– Tego dnia był u nas z synem – dodała jego żona. – Pamiętam, bo sama ich obsługiwałam.

– Czy podczas tej wizyty zauważyła pani coś nietypowego?

– Mój Boże, nic nie zapowiadało takiej tragedii... – Zakryła dłonią usta. – Józio był taki podekscytowany

wyjazdem na nocne wędkowanie. Tomasz wspominał o pełni księżyca, że coś się z tym wiąże... Ale nie przypominę sobie.

– Pewnie chodziło o pełnię jesiotrów – wtrącił Henryk.

– Tak, dokładnie o tym mówił. Twierdził, że dzięki pełni ryby mogą lepiej brać.

– Dziękujemy za cenne informacje. – Robert spojrzał wymownie na Stefę, przekonany, że te rewelacje na nic im się zdadzą.

– Pan nie wierzy? – Henryk zwrócił się do komisarza poważnym tonem.

– W co?

– W oddziaływanie energii Księżyca na zjawiska na Ziemi.

– Szczerze mówiąc, nie bardzo – odpowiedział Robert z lekką ironią.

– To błąd. Podczas pełni mnożą się przestępstwa, nikt nie wie dlaczego, ale to fakt. Nie ma na to dowodu naukowego, jednak potwierdzają to statystyki. W księżycową noc życie traci naraz pięć osób. Czy to nie zastanawiające?

– Wie pan, rozum nakazuje mi...

– Skoro wszyscy się tutaj tak dobrze znają, to może usłyszeli państwo, co klienci ze środowiska wędkarskiego sądzą o całej sprawie? – Stefa przerwała wymianę zdań między mężczyznami, widząc, że do niczego ich nie doprowadzi.

– Proszę pani, ludzie to oszaleli – odparła Irena. – Mamy dwa razy więcej klientów, mimo że sezon powoli dobiega końca. Zło wzbudza zainteresowanie, ot, taka ludzka natura. Fascynują się tym tematem, snują rozmaite teorie.

– Tak, a dokładnie jakie?

